

**KOMEDIA**

**z BECKETTEM**

**Wariacje eseistyczne**



WYDAWNICTWO  
UNIwersYTETU  
ŁÓDZKIEGO

**ANNA SKURSKA**

**1**

**ANNA SKURSKA**

**ANNA SKURSKA**

**Istnienie, naznaczone  
cierpieniem już od momentu  
narodzin, jest bezcelowe; każde  
działanie będzie aktem jałowym  
i identycznym w skutkach. Jedno  
z następujących po sobie  
powtórzeń będzie powtórzeniem  
ostatnim – to jedyna znacząca  
zmiana.**

**D**wie kobiety i mężczyzna, klasyczny trójkąt małżeński. One rozgoryczone, on zagubiony. One zaangażowane w walkę, on wycofujący się z pola bitwy. On ucieka, one zostają. Jego głowa wystaje niewiele ponad krawędź obłego naczynia... tak samo, jak głowy obu kobiet. Twarze tak samo szare jak glina, z której ulepione są naczynia. Jak urny. Trzy urny, jako jedyny element scenografii, trzy mówiące twarze, bez imion i nazwisk, opowiadające historię trójki nieszczęśliwych ludzi.

Akt rozpoczyna całkowita ciemność. Rozjaśnia ją światło trzech lamp punktowych, padających prosto na twarze. I oto, nagle, wszystkie trzy postacie (a może właśnie twarze?) w urnach zaczynają mówić równocześnie, wydobywając z siebie urywkowe, nie powiązane ze sobą zdania, jakby wyrwane z kontekstu. W dodatku każda z osób zdaje się nie słyszeć wypowiedzi pozostałych, może nawet nie uzmysławia sobie własnej wypowiedzi, tak jest ona mechaniczna i pozbawiona uczuć.

Potem bohaterowie mówią już tylko pojedynczo, wezwani do wypowiedzi poprzez padające na twarz światło punktówki, podczas, gdy inne pozostają w ukryciu. Ostre światło wydobywa szczegóły, uwydatnia błądź skóry, załamania rysów, podkreśla cienie. Zapalając się – zmusza do wypowiedzi, gasnąc – do milczenia. Nie da się przed nim uciec, niemożliwym jest pominięcie swojej kolejki lub chociaż zmiana tematu. Czym dla postaci zamkniętych w urnach jest sytuacja, w której się znalazły? Przesłuchaniem? A może spowiedzią, sądem lub czyścem? Czy bohaterowie już umarli czy też są charakterystycznym dla światopoglądu Becketta, symbolem „bytowania ku śmierci”<sup>1</sup>?

<sup>1</sup> Określenie Martina Heideggera.

Historia opowiadana przez uwikłanych kochanków to banalnym rodzajem dramy mieszczańskiej; mężczyzna i dwie kobiety. Wiadomo, że działanie to musi dać w wyniku nieszczęście. Układ funkcjonował poprawnie, dopóki jego członkowie dostosowywali się do reguły: opowiadam kłamstwo – wierzę w kłamstwo. Pragnienie prawdy wytrąciło trójkę ludzi ze znanych form, kazalo im pytać i wątpić. Mężczyzna – M – chciał zatrzymać obie kochanki, nie myśląc wiele o konsekwencjach, uczuciach kobiet czy własnym sumieniu. *Ponieważ kochałem ją tak, jak kochałem, znaczy z całego serca, było mi tylko jej żal*, mówi wywołany do odpowiedzi M. Wypowiedzi kobiet, nazwanych po prostu K1 i K2, zdradzają różnice ich charakterów, a jednak mężczyzna dostrzega, jak bardzo są podobne. Być może właśnie dlatego nie potrafi wybrać. *Kobiety, Boże, rzadkie ściernwo*, myśli M, racząc obydwie towarzyszki podobnymi zapewnieniami o miłości i stałości. Kiedy i one już nie skutkują – postanawia zniknąć. Nie stawia pytań o etyczność swojego postępowania, natomiast przez cały czas trwania akcji dramatu Beckett skazuje M na męczarnie... czkawki. Kara? Dokuczliwy wyrzut sumienia?

Gdy kończy się historia trójkąta, bohaterowie zaczynają mówić o przeżyciach wewnętrznych, lecz nie można pozbyć się wrażenia, że wracając do przeszłości, wracają też do... poprzedniego życia i emocji towarzyszących im „tam”: *Spodziewałam się czegoś lepszego. Bardziej kojącego. Mniej niepokojącego. A jednocześnie wolę to od... tamtego*. Umieszczając swoich bohaterów w urnach, Beckett osadza ich bezpośrednio w przestrzeni pośmiertnej, jednakże nie jest ona ani niebem, ani piekłem, ani też innym miejscem, przeznaczonym do pośmiertnych wędrówek. Postacie są unieruchomione i bezwolne a ich aktywność uzależniona jest od kapryśnego światła, jedyne go słuchacza monologujących postaci. Monologujących, gdyż wydają się w swoich urnach oddzielone samotnością śmierci, jak gdyby złożono je w sąsiedujących grobach. Słowa mówiących przesycają się symboliką „przygasania” i „gaśnięcia”, a także „ciemności” i „półmroku”. Zgasły nie tylko związek i miłość bohaterów, zgasło ich życie i nadzieja na lepszy byt po drugiej stronie, który oznaczałby wolność od wspomnień i żalu... Tymczasem obecny świat to właśnie nieustanny półmrok, który *chwilami można wytrzymać*. Tylko światło wciąż zmusza do snucia tej samej historii, nie pozwalając zapomnieć. Czy światło jest odsłoną Boga stojącego nad grzesznikami i zadającego srogą pokutę zawieszenia w próżni? Nad tym samym zastanawiają się obie kobiety i mężczyzna, wciąż pytając nieubłagane światło i nie otrzymując odpowiedzi. Nie wiadomo, czy pragnie ono uzyskać od zmarłych

całą prawdę czy tylko zadać im mękę. Nie wiadomo nawet, czy w ogóle jego działanie ma sens. Bohaterowie wątpią w to, dając do zrozumienia, że „przesłuchanie” nie ma końca; wciąż powtarza się od nowa, ponawiając te same, nieme pytania. W dodatku światło podtrzymuje marne, pośmiertne istnienie bohaterów, którzy wręcz chcą być przez nie porażeni, by przerwać ciągle rozliczanie się z przeszłością. Punktówka jednak zapala się, rzadko dając chwilowe wytchnienie w mroku. Choć paradoksalnie, realizuje też, wyniesioną ze świata żywych, ludzką potrzebę słońca: *Nieludzkie pragnienie ciemności. A im ciemniej, tym gorzej. Dżinne*. Słońce to powtarzalność wschodów i zachodów oraz życiodajna energia. To nadzieja. Światło punktówki zapewnia beznadziejną, bo nieprzerwaną cykliczność udręczającej jasności oraz uwalniającej ciemności. Bohaterowie żywią także nadzieję, która jest nadzieją na powtórzną śmierć, na całkowitą nicość, wyzwalającą od cierpienia – *tamto wszystko było tylko... komedią. A to wszystko? A kiedy to wszystko będzie już tylko... komedią?* – pyta mężczyzna.

Życie jak i śmierć w sztukach Becketta mało mają sensu. Życie to tylko klisza niewiele różniących się od siebie zdjęć, wypełnia je powtarzalność zdarzeń, czynności, słów. Czas zapętla się i, docierając do pewnego punktu, wraca do początku. Zatem istnienie, naznaczone cierpieniem już od momentu narodzin, jest bezcelowe; każde działanie będzie aktem jałowym i identycznym w skutkach. Jedno z następujących po sobie powtórzeń będzie powtórzeniem ostatnim – to jedyna znacząca zmiana. Aby oddać ten zamknięty krąg, po zakończeniu *Komedii* autor każe powtórzyć akcję jeszcze raz – tak samo, jak po raz pierwszy lub w sposób nieznacznie inny. Śmierć jest więc równie monotonna i pusta, jak życie, a jednak straszniejsza jeszcze, bo rozliczająca i... wieczna. K1 skarży się: *I że wszystko to, od samego początku, pada w próżnię. Że niczego się ode mnie nie żąda. Że nikt niczego ode mnie nie żąda*, z kolei M stwierdza: *[...] jesteś załedwie... okiem. Spojrzeniem tylko. Padającym na moją twarz*. Wygląda na to, że światło nie ma w sobie nic z boskości; nie obchodzą go wypowiedzi ani pytania przesłuchiowanych. Ono tylko patrzy, tylko przeświecila. Jeśli nie ma Boga, to nie ma też wybaczenia grzechów, a jeśli nie ma wybaczenia, nieskończona udręka staje się niewyobrażalna. Życie chociaż można wypełnić chwilowymi rozrywkami lub mało znaczącymi rozmowami, jak robią to Estragon i Vladimir z *Czekając na Godota*. Oni także doświadczają powtarzalności, przeżywając od nowa te same zdarzenia i mając jedynie mętną tego świadomość. Towarzystwo drugiego człowieka jest rodzajem chwilowego wybawienia od

poczucia bezsensu i dziwaczного *déjà vu*. Bohaterowie *Komedii* są zdani jedynie na towarzystwo własne i własnych wspomnień, a kara to wyrafinowana i okrutna, jeśli trwać będzie wiecznie.

*One rodzą okrakiem na grobie, światło świeci przez chwilę, a potem znów noc, znów noc* – cytat ten, jako skrótowe omówienie poglądów samego autora, dotyczących umierania, wygłasza oślepiiony Pozzo w *Czekając na Godota*. Z niebytu przechodzimy w życie, by znowu trafić w niebyt. Ponadto człowiek nie jest „stworzony” do śmierci – czepia się życia nawet w jego szczątkowych, wynaturzonych formach. Nawet jeśli bohaterowie myślą o śmierci, tak jak Estragon i Vladimir, to jednak przed samobójstwem powstrzymuje ich nadzieja – na opiekę wyższego porządku, na zmianę, na znalezienie sensu. Oni wciąż... mówią. Rozmowy ich, puste i nic nie znaczące, są jednak dowodem życia, swoistym „mówię, więc jestem”. Kaleka egzystencja Nagg i Nell z *Końcówki* technicznie beznadzieją, oni sami znajdują jeszcze przyjemność właśnie w rozmowie, choćby miała być powtarzaną po wielokroć, wytartą anegdotą. Stary Krapp odsłuchuje taśmy, pragnąc pochwycić cień młodości w głosie człowieka, którym był przed laty. A bohaterowie *Komedii*? Wiele by dali za ciszę, tymczasem zmuszeni są mówić. Oni jednak odrzucili życie z własnej woli. Być może dlatego tak drogo płacą za to wynaturzenie. Bo czy życie, według Becketta, nie jest jedynym, czym naprawdę rozporządzamy?

*Nie umieliśmy żyć*, kwituje M, oglądając we wspomnieniach sceny z poprzedniego życia, wciąż na nowo. Sceny, w których fałsz wkradł się w grę wszystkich trzech aktorów, fabuła była aż nadto przewidywalna, a śmiech widzów byłby tylko aktem litości dla komików tej bardzo nieudanej komedii.

ISBN 978-83-935784-2-9



9 788393 578429